

Wrześniowa Piłsudskiego

katastrofa

19 sierpnia 2022

Klęska wrześniowa 1939 r. była szokiem dla większości społeczeństwa polskiego. Karmieni propagandą przekonywani, że „nie oddamy ani guzika”, ludzie swoją wściekłość kierowali przeciw sanacji. Z pogardą mówiono o dostojnikach, „panach, co przez Zaleszczyki z walizkami pełnymi złota” uciekali. Szczególną nienawiścią darzono, uznanych za odpowiedzialnych za klęskę: marszałka Rydza-Śmigłego, premiera Sławoja-Składkowskiego, ministra MSZ Józefa Becka, ministra wojskowości gen. Tadeusza Kasprzyckiego.

Nastroje społeczne sprzyjały antysanacyjnej opozycji, która w sposób daleki od norm konstytucyjnych, przejęła władzę na emigracji. Emigracyjny premier gen. Władysław Sikorski zapowiadał rozliczenie winnych, postawienie przed specjalnym trybunałem Rydza-Śmigłego i Becka. Powołał, w październiku 1939 r. specjalną komisję „rozliczeniową”, na jej czele stał gen. Józef Haller, zastępcą był gen. Izydor Modelski, członkami m.in. Stanisław Stroński i Aleksander Ładoś z PSL. Wyższych oficerów przedwojennej armii poddano upokarzającym przesłuchaniom; części z nich odmówiono prawa służeńiu w wojsku i internowano. Równie niespodziewana i upokarzająca klęska Francji zmieniła nastroje społeczne. Rehabilitowano pamięć o polskich żołnierzach i ich dowódcach; przypominano, że polska armia walczyła dłużej i zadała wrogowi większe straty, niż mocarstwowa Francja. Zmiana nastrojów nie doprowadziła do rezygnacji z rozliczeń. Komisja badająca odpowiedzialność za klęskę wrześniową działała do 1945 r., przewodniczył jej prawnik Bohdan Winiarski. „Jastrzębiami” zwalczającymi środowisko piłsudczykowski byli wpływowi politycy z otoczenia gen. Sikorskiego – gen Izydor Modelski i prof. Stanisław Kot. Opinie publiczną kształtowały błyskotliwe eseje Cata-Mackiewicza.

Rozliczenie „panów uciekających przez Zaleszczyki”, było też tematem propagandy komunistycznej. Zaowocowało to wydanym przez reżim Polski „ludowej” w 1946 r. haniebnym dekretem „o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację kraju”. Z przyczyn oczywistych w PRL, sowieckiej kolonii, przemilczany był pakt Ribbentrop-Mołotow i agresja 17 września. Oficjalna polityka historyczna, wspierana cenzurą i służbami specjalnymi, powielała narrację Kota i Modelskiego, dodając argumenty o ideologicznej niechęci sanacji, by w sojuszu z ZSRR walczyć z zagrożeniem hitlerowskim. Polityka ta ulegała pewnym zmianom; po 1956 r. można już było pisać o bohaterstwie „prostych żołnierzy”. Pierwszą, w miarę obiektywną książką wydaną w kraju (choć po zderzeniu z cenzurą autor zdecydował o edycji w drugim obiegu) o kampanii wrześniowej była „Wojna polska” Leszka Moczulskiego. Niestety, zwiastowała ona tworzenie nowych mitów.

Odkrywaniu „białych plam” towarzyszyła rehabilitacja legendy piłsudczykowskiej, w tym przywracanie „dobrej pamięci” o Rydzu-Śmigłym i Józefie Becku. Taka też narracja stała się treścią edukacji historycznej w niepodległej Rzeczypospolitej. Nie zmieniła jej masowa popularność książki Piotra Zychowicza, nie zmieniły inne publikacje krytyczne wobec polityki prowadzonej przez obóz sanacyjny.

W obowiązującej polityce historycznej przyjęto niepodważalne schematy:

- rząd przedwojenny z determinacją obronił honor Polski (tu cytuje się Becka: dla Polaków honor jest rzeczą bezcenną);
- armia polska bohatersko walczyła z przeważającą liczebnie i uzbrojeniem armią niemieckiego agresora;
- klęska była wynikiem „ciosu w plecy” – agresji ZSRR – oraz perfidnej zdrady ze strony sojuszników Francji i Wielkiej Brytanii.

Polityka historyczna jest czymś podobnym do religii.

Podważenie powyższych dogmatów skutkuje zarzutem antypatriotyzmu. Heretyków (np. Zychowicza czy Ziemkiewicza) w najlepszym wypadku traktuje się jako „kontrowersyjnych”; jeśli pochodzą z kręgu opozycyjnego do aktualnie rządzących przedstawia się ich jako „postkomunistów” lub „ukrytą opcję niemiecką”.

„Historia, czyli wiedza o przeszłości, także ma naturalne znaczenie polityczne i od samego początku jest polityczna nie dlatego, że zajmuje się wydarzeniami politycznymi, ale ponieważ zgodnie z wolą polityczną je segreguje, porządkuje i interpretuje. Historia w pierwotnym, naturalnym wydaniu, obecnym także w dzisiejszych najbardziej rozwiniętych społeczeństwach to opowieść o chwalebnych dziejach odrębnej organizacji politycznej i jej przywódców, pisana w celu wytworzenia poczucia wspólnoty egzystencji i interesów przez kształtowanie i rozwijanie świadomości wspólnej przeszłości, wyrażającej się w przynależności terytorialnej, ciągłości kulturowej i wiedzy o wielkości dokonań przodków. Jej narratorzy pomijają liczne fakty, równocześnie absolutyzując inne wydarzenia. Koncentrują się na wspaniałych wyczynach swojego zjednoczenia i osiągnięciach własnych przywódców, nawet jeśli ci byli nieudacznikami i przegrali. Kiedy zwyciężyli militarnie, ale polegli dyplomatycznie, pamięta się tylko o tym pierwszym wydarzeniu, drugie usuwając z pamięci. Zadaniem historyków zaangażowanych politycznie, a pierwotnie innych nie było, pozostawało kreowanie bohaterów i partykularnej wizji dziejów, wyrażającej interesy danego podmiotu politycznego. Taka historia była środkiem służącym kształtowaniu egzystencji i pozycji podmiotu politycznego w środowisku. Fałszowanie wiedzy, świadome i nieświadome, było i pozostaje jej nierzadko stosowaną metodą. Nawet jeśli oficjalnie posługiwanie się nią jest potępiane”.[1]

Powyższe słowa napisał profesor politologii z uniwersytetu w Białymstoku, w artykule adresowanym do wąskiego grona naukowców. Zostały więc przemilczane przez, potencjalnie

obrażonych, historyków „zaangażowanych politycznie”. Historycy wolą kreować się na „obiektywnych”; wygodnie skupiają swoją pracę badawczą na uzgadnianiu szczegółów wydarzeń, unikając uogólnień sprzecznych z oczekiwaniami rządzącego środowiska politycznego. Hipokryzją jest powtarzanie banału „historia magistra vita”, skoro unikając krytycznej oceny, otwiera się drogę do powielania starych błędów.

Religijność historii paraliżuje rozum. Powtarzamy jako dogmat: Napoleon Bogiem Wojny był. Ale czy, w ostatecznym rachunku, Napoleon wygrał czy przegrał swoje wojny? Można błyskotliwie wygrać wiele bitew, ale nie zmienia to rezultatu: Francja straciła blisko 20% ludności, na okres półwiecza przestała być europejskim mocarstwem, „Bóg wojny” trafił do brytyjskiej niewoli, a Kozacy poili swoje konie w Sekwanie. Czy Bogiem Wojny nazwiemy Hitlera, który doprowadził Niemcy do największej klęski w dziejach tego państwa? A może Stalina, którego zwycięstwo kosztowało Rosję więcej strat ludzkich, niż wszelkie wcześniejsze przegrane wojny... Czy duma narodowa ma być jak Mołoch, rosnąca wraz z liczbą ofiar, patriotów, pożartych przez bóstwo?

Jeśli historia ma nas czegoś uczyć powinniśmy mieć odwagę głosić – winnym klęski wrześniowej jest Józef Piłsudski i system władzy przez niego tworzony. Nie dajmy się uwodzić przedwojennej propagandzie, nie powtarzajmy za naszymi dziadkami: gdyby Marszałek żył, nigdy by do tego nie dopuścił. Uznanie odpowiedzialności Naczelnego Bohatera Narodowego nie służy złośliwej satysfakcji z obalania pomników. Pozwala zrozumieć uniwersalny mechanizm: państwo, w którym w imię bezpieczeństwa ogranicza się demokrację i wolność indywidualną, bynajmniej nie jest silniejsze i skuteczniejsze w obronie owego bezpieczeństwa.

To nasz strach tworzy wiarę w Mężów Opatrznościowych, w Ojców Niepodległości, Geniuszy, którzy ze swej niebotycznej wysokości widzą dalej i lepiej. Pucz wojskowy w maju 1926 r. tłumaczony był jako ratunek wobec zewnętrznych zagrożeń. Od

1922 r. trwała, uzgodniona w Rapallo, współpraca gospodarcza i wojskowa dwóch potencjalnych agresorów: Niemiec i ZSRR; w 1925 r. pakt w Locarno zawarty przez Francję i Wlk. Brytanię z Niemcami oznaczał brak gwarancji aliantów dla granic ich wschodnich sojuszników. Niebezpieczeństwo było realne, wymagało prowadzenia skutecznej polityki zagranicznej i dozbrojenia armii.

W świecie egoizmów narodowych prowadzenie skutecznej polityki zagranicznej jest trudną ekwilibrystyką, wymagającą profesjonalizmu. W okresie demokratycznej II RP o ten profesjonalizm było trudno; z przyczyn materialnych korpus dyplomatyczny budowano z majątnych arystokratów, bo państwa nie było stać na utrzymanie ambasad. Lekceważono też prowadzenie wywiadu politycznego, stąd u części polityków rządowych żenująco niska była wiedza o sytuacji wewnętrznej innych państw europejskich. Nie znaczy to jednak, że polityka zagraniczna nie istniała, lub nie przynosiła rezultatów. Lubując się w wielkich słowach, lekceważymy realne osiągnięcia; nie zauważamy Szymona Aszkenazego, który – jako przedstawiciel Polski w Lidze Narodów – zyskał uznanie Galicji Wschodniej jako integralnej części Rzeczypospolitej; nie doceniamy Skrzyńskiego i Grabskiego i ich roli, w tworzeniu sojuszu z Czechosłowacją, a poprzez to włączenie się w tworzenia „małej Ententy” z Rumunią i Jugosławią. W warunkach demokratycznych polityka zagraniczna wypracowana była w drodze otwartej dyskusji, ścierały się różne jej wizji, aby w efekcie przyjmować kierunki dla bezpieczeństwa państwa najistotniejsze. Mimo werbalnej krytyki po 1926 r. nie nastąpił radykalny przełom. Do 1932 r. za prowadzenie polityki zagranicznej odpowiadał profesjonalista August Zaleski. Po nim nastał dyplomowany pułkownik artylerii z legionowym stażem: Józef Beck. Otwarta dyskusja nad kierunkami polityki zagranicznej przestała być możliwa.

Pozycja Becka wynikała z przekonania, że tylko on, w poufnych debatach, wtajemniczony został w wizje rodzące się w genialnej

głowie Marszałka. Nikt nie ośmielał się zadać pytania, czy Geniusz u władzy ma kwalifikacje, by wyznaczać kurs polityki. W odróżnieniu od Dmowskiego, Grabskiego, Skrzyńskiego, Aszkenazego, Zaleskiego, Hołówki, Wasilewskiego itd. Piłsudski nigdy nie okazywał szczególnego zainteresowania innymi państwami. Nawet spędzając urlop za granicą, w Rumunii, w Egipcie, na Maderze, nie próbował zwiedzać tych krain, rozmawiać z tamtejszymi mieszkańcami. Tkwił w pułapce własnych stereotypów: na konferencję wersalską wysłał Dłuskiego, bo wierzył, że szwagier Skłodowskiej będzie miał wpływ na ministerstwa aliantów; Zaleskiego cenił, kierując się przekonaniem, że masoni rządzą światem. Politykę zagraniczną postrzegał jako walkę na miny. Pokazał to zaraz po przewrocie majowym; walnął pięścią w stół na sesji Ligi Narodów pytając wodza litewskiego: „pokój czy wojna?”. Waldemar musiał odpowiedzieć „pokój”, tyle, że to realnie nic nie rozwiązało; granica litewska nadal pozostała absurdalnie zamknięta. Wiara w nieomyślność wodza rodzi pułapkę: nie wiemy, czy Beck interpretował wskazania Piłsudskiego, czy – przeciwnie – Marszałek, jako własne, przyjmował podszepty zaufanego dworaka.

Polityka zależna jest od informacji, stąd kluczowa rola wywiadu. W czasach demokratycznych, przy braku profesjonalnej dyplomacji, kluczową rolę odgrywała prasa; konkurencyjność powodowała, że czytelnik uzyskiwał w miarę obiektywny obraz wydarzeń w innych państwach. Cenzura zaostrzona po maju 1926 r., a jeszcze bardziej zaostrzona propaganda, powodowała zniwelowanie obiektywności. Rządzący preferowali informacje dostarczane przez służby specjalne, a te z czasem tworzone były pod potrzeby odbiorców. Publicysta, eks-dyplomata, Karol Żbyszewski, ze zdziwieniem zauważył, że w ambasadzie w Moskwie w latach 30-tych, nie było pracowników mówiących po rosyjsku. Wywiad w Czechach specjalizował się w pisaniu donosów na Masaryka. Z Niemiec płynęły informacje o przyjaznym dla Polski Hitlerze, zrywającym z wredną polityką socjaldemokraty Stresmanna. Z Włoch peany o Mussolinim... Widziano to co chciał

widzieć wódz, nie dostrzegano słonia: słabości militarnej Wlk. Brytanii, „wojny wewnętrznej” we Francji, skutków współpracy wojskowej Niemiec z ZSRR, groźby dewiacji: stalinizmu i hitleryzmu. Informacje wywiadu podsycały wiarę w mocarstwowość Polski, miało to swoje przełożenie na politykę wobec państw Europy Środkowej. Wspomniana „mała Ententa” była sojuszem, przede wszystkim antywęgierskim; polscy politycy byli przekonani, że swoim autorytetem pogodzą wodę z ogniem, utrzymując przyjaźń zarówno z Węgrami, jak i Rumunią, jakby nie istniał problem Siedmiogrodu. „My rozmawiamy tylko z silnymi” – taka dewiza tłumaczyła pakty o neutralności zawierane z ZSRR i Niemcami, przy braku zainteresowania dla zrozumienia interesów małych krajów.

W sprawie wzmocnienia armii wiarygodnym jest „świadek koronny”, najwierniejszy sługa Marszałka, gen. Sławoj-Skłodkowski. W swej relacji „Strzępy meldunków” przytaczał relacje z spotkań z ministrem spraw wojskowych Piłsudskim; głównym ich tematem były awanse oficerskie. Jest to, niestety, cecha typowa dla autorytaryzmu. Gdy tworzyła się Rzeczpospolita, w czasie wojen o granice oraz wojny z bolszewikami, ministrem spraw wojskowych, był, bliski Piłsudskiemu, Kazimierz Sosnowski. Uznać wypada: to on dał Naczelnikowi wojsko gotowe do obrony niepodległości. By je stworzyć współpracował z Rozwadowskim i Hallerem, nie różnił, który oficer jest z armii rosyjskiej czy austriackiej; nie preferował „swoich” z Legionów. To było oczywiste, bo w przypadku zagrożenia – „wszystkie ręce na pokład”. Ta armia budowana przez Sosnkowskiego zniszczona została po zamachu majowym. Gdy ktoś zdobywa władzę w wyniku puczu wojskowego, to boi się, by ktoś inny nie powtórzył takowego wyczynu. Dlatego Rozwadowski, szef Sztabu Generalnego w czasie wojny z bolszewikami, trafił do aresztu, a warunki uwięzienia przyspieszyły jego zgon. Dlatego przeprowadzono w armii ogromną czystkę usuwając wybitnych dowódców, w tym gen. Sikorskiego. Zamiast kompetencji liczyć się miała lojalność. Miało to swoje bezpośrednie przełożenie na stan armii, jej

uzbrojenie, wyszkolenie i przygotowywaną strategię obrony.

Wojsko, jak i dyplomacja, wywiad, zarządzanie gospodarką, wymaga profesjonalizmu. Wojna to wielka operacja logistyczna, wymagająca umiejętności wyliczenia, jaką „siłę ognia” trzeba zgromadzić w odpowiednim czasie i miejscu; jak dowieźć ładunek ludzi, prowiantu, amunicji, sprzętu. Liczy się wiedza zdobyta w akademii i praktyka nabywana na poligonach; oficerowie z b. armii zaborczych dysponowali jednym i drugim. W odróżnieniu od nich „legioniści” byli amatorami na froncie uczący się rzemiosła. Osobiste bohaterstwo wiedzy nie zastąpi; ktoś, kto dopiero sprawdził się jako dowódca kompanii, nie nadaje się jeszcze do komenderowania dywizją. Wojna z natury przyspiesza awanse, ale skutkiem tego bywa spadek jakości dowodzenia. Czystka i preferowanie „politycznych” awansów, to droga to zniszczenia zdolności bojowej każdej armii.

Niszczenie etosu profesjonalizmu zawodowego sprzyja, także, zaniedbaniom w unowocześnianiu sił zbrojnych. Okres międzywojenny był wszędzie czasem ostrych dyskusji o rozwoju sił zbrojnych. W Niemczech, a w ślad za tym, w współpracujących z nimi siłach ZSRR, postawiono na rozwój broni pancernej i lotnictwa. We Francji zwyciężyła tradycja – inwestowano w betonowanie linii obronnych. W Polsce dyskusji nie było, bo minister spraw wojskowych, i potencjalny najwyższy dowódca, swoją uwagę koncentrował na awansach oficerskich, czasami dodatkowo racząc słuchaczy dykteryjkami o odwadze armii japońskiej. W relacji Składkowskiego nie pojawiła się żadna myśl Piłsudskiego dotycząca kierunku dozbrojenia armii; nie dyskutowano, czy inwestować w czołgi czy bunkry. Rydza-Śmigłego uczyniono „kozłem ofiarnym” odpowiedzialnym za militarną klęskę we wrześniu 1939 r. Ale to dopiero za jego czasów, po śmierci Piłsudskiego, rozpoczęto formowanie dywizji pancernej, rozbudowano flotę, wybudowano umocnienia obronne na Śląsku i na Pomorzu, opracowano nowoczesne samoloty myśliwskie i bombardujące, wprowadzono do użytku rusznice przeciwpancerne. Dopiero po śmierci

Piłsudskiego przyjęto projekt budowy COP – rozwoju polskiego przemysłu zbrojeniowego.

Armia tworzona przez Sosnkowskiego w 1920 r. miała być neutralna wobec podziałów politycznych. Szanowano w niej różnorodność narodowości i religii, wychowywano żołnierzy w duchu lojalności wobec państwa. Gorzkie doświadczenia z lat tworzenia Rzeczypospolitej, w tym konieczność użycia wojska do tłumienia wewnętrznych buntów, różnych „republik tarnobrzeskich” i „buntów głodowych”, a zwłaszcza nieszczęsne wydarzenia krakowskie jesienią 1923 r.; podpowiadały konieczność zastępowania interwencji wojskowej – policyjną. Okazało się to skuteczną metodą. Powołana policyjna formacja KOP sprawdziła się w czasie „wojny hybrydowej” na Kresach w latach 1922-26 (ataki partyzantki wspieranej przez ZSRR). Metodami policyjnymi stłumiono „pierwszą irredentę” ukraińską w Galicji, prowadzoną przez UOW. W czasach Piłsudskiego wrócono do interwencji wojskowej. Użyto żołnierzy do tzw. „pacyfikacji” Galicji w 1930 r., kładąc im niszczyć mienie chłopskie, marnować żywność, a nawet bić i gwałcić. Na podobnej zasadzie użyto żołnierzy w 1937 r., do burzenia prawosławnych cerkwi. Towarzyszył temu, politycznemu, wykorzystaniu wojska, stały transfer oficerów „legionowych” na cywilne stanowiska urzędnicze. Rząd był „pułkowników”, w mundurach byli wojewodowie i starości. Armia przestała być apolityczna, stała się dominantem w polityce. Zamiast lojalności wobec państwa, żądano od żołnierzy poddaństwa Marszałkowi.

Nie czarujmy się magią słów: „gdyby Marszałek żył nie doszło by do takiej klęski”. Nie wiemy, co by było gdyby... Może, gdyby dożył, byłby jak Rydz internowany w Rumunii, a ludzie pluliby słysząc jego nazwisko. Może by skończył jak Petain, bohater I wojny światowej... Nie był Piłsudski Mannerheimem, który nie chciał rządzić Finlandią, lecz obsesyjnie dbał by jego kraj dysponował silną armią. Raczej odwrotnie – obsesyjnie chciał rządzić Polską, a armię widział jako gwaranta swojej władzy.

Nie ma pokoju bez wolności. Ten, kto ludzi pozbawia wolności i demokracji, nigdy nie stanie się dobrym gwarantem ich bezpieczeństwa. Taka mogłaby być lekcja z historii, gdyby przedmiot ten był nauką, a nie religią.

Autorstwo: Jarosław Kapsa

Źródło: FundacjaWiP.wordpress.com

Przypis

[1] Ryszard Skarżyński, „Podstawowy dylemat politologii; dyscyplina nauki czy potoczna wiedza o społeczeństwie. O tradycji uniwersytetu i demarkacji wiedzy”, Białystok 2012 r.